



GRAHAM
MASTERTON

Tęskniły za siostrzyczką...
nie wiedziały, że zbudzą potwora.

Z JAWA

ALBATROS

Tytuł oryginału:
SPIRIT

Copyright © Graham Masterton 1994
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2017

Polish translation copyright © Andrzej Szulc 1995

Redakcja: Lucyna Lewandowska

Projekt graficzny okładki:
Agnieszka Drabek / Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.

Ilustracje na okładce: Freepik (*twarz*); FlatWorks/Freepik (*las*);
monomal/Freepik (*gałęzie 1*); donbaron/Freepik (*gałęzie 2*)

Wydawca

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.
Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa
wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros | Instagram.com/wydawnictwoalbatros



ALBATROS

Rozdział 1

Elizabeth zobaczyła, jak Peggy znika za domem – drobna, mysioszara, odziana w futerko postać, ledwie widoczna przez nurkujące w dół płatki śniegu – i przez krótką chwilę miała przecucie, że stanie się coś straszego.

W oddali usłyszała płaski ton wybijającego godzinę szkolnego zegara. Dongg.

Zatrzymała się zasapana, ze szkarłatnymi policzkami i ciekącym nosem i przez chwilę obserwowała pusty ogród i biały, obity deskami węgiel domu, za którym Peggy zniknęła tak zdecydowanie, jakby przebiegła z jednego do drugiego życia.

Wydawało się, że ogród wstrzymał oddech, cichy, ze swymi ciemnymi, pokrytymi czapami śniegu jodłami i rzeźbionymi wiatrem krzywymi zaspami. Elizabeth słyszała tylko szelest białych płatków i drzenie gałęzi, składających co jakiś czas swą małą daninę śniegu.

Poza tym nic więcej. Potężny, głuchy dźwięk niczego więcej. Niebo, ogród, dom – to było wszystko.

Dziewięcioletnia Elizabeth odwróciła się niepewnie i otarła nos wierzchem czerwonej wełnianej rękawiczki. Zastanawiała się, czy nie powinna pobiec za siostrą. Ale Peggy precyzyjnie się pewnie tymczasem przez żywoplot za

szklarnią, minęła patio i kuchenny ogród i siedzi teraz w kucki w szopie, chichocząc i pociągając nosem, przekonana, że nikt jej nie znajdzie.

Elizabeth wciąż jednak nie dawało spokoju to wcześniejsze przecucie. Głębokie, niewyjaśnione przecucie, które przemknęło przez jej umysł niczym wielki czarny rekin, przemykający przez chłodną zimną toń, bez jednej zmarszczki na powierzchni wody.

Wiedziała z całą pewnością, że Peggy schowała się w szopie. Gdzie indziej mogła pójść? Ale czuła jednocześnie, że Peggy odeszła – że zniknęła i że nigdy już jej nie zobaczy.

Zrobiła pięć albo sześć kroków po śniegu.

– Peggy! Gdzie jesteś, Peggy? – zawołała. Ale ogród pozostał niemy i okutany bielą. Elizabeth zawahała się i zatrzymała.

– Gdzie jesteś, Peggy?! – zawołała ponownie.

Żadnej odpowiedzi. Elizabeth nie mogła znieść dźwięku własnego głosu.

– Peggy! – zawołała.

A potem:

– Laura!

W końcu pojawiła się Laura, brnąc przez śnieg w swoim landrynowoczerwonym sztruksowym płaszczyku. Miała siedem lat i wszyscy mówili, że jest najładniejsza. Jej blond włosy układały się w loki (jak u matki), podczas gdy włosy Elizabeth były ciemne i proste (jak u ojca). Peggy także miała blond loki, ale zniknęła teraz za obitym deskami węglem domu i Elizabeth nie wiedziała, czy kiedykolwiek ją jeszcze zobaczy.

– Co takiego? Co się stało? – zapytała zasapana Laura.

– Peggy zniknęła.

Laura wytrzeszczyła oczy.

– Jak to zniknęła?

– Nie wiem. – Elizabeth miała wrażenie, jakby zamykało się nad nią niebo – zamykało niczym składany róg do rogu arkusz ciemnej bibułki. – Po prostu zniknęła.

– Na pewno się schowała – odparła Laura. – Tato narzyczał na nią, bo bawiła się zaczarowanymi kieliszkami.

Elizabeth przygryzła wargę. „Zaczarowanymi kieliszkami do jajek” dziewczynki nazywały podstawki pod golfowe piłki. Wszystkie trzy były nimi zafascynowane i wszystkie trzy przy tej lub innej okazji dostawały burę za ich wykradanie. Elizabeth była zmartwiona. Właśnie zmartwiona, podobnie jak zmartwiona była mama, kiedy zapadała noc, sypał gęsty śnieg, a tato nie wracał jeszcze z New Milford.

– Lepiej jej poszukajmy – powiedziała.

Brnąc przez zasy, ruszyły wokół domu. Minęło wpół do czwartej i powoli nadchodził zmierzch. Korty tenisowe były opuszczone, siatki obwisłe i oblepione śniegiem. Na śniegu widać było tylko widelcowate odciski łapek drozdów i ślady pozostawione przez ich kota.

– Peggy! – zawołały razem. – Zaraz cię złapiemy, Peggy!

Cisza. Podmuch wiatru podniósł z ziemi śnieżnego demona.

– Tędy na pewno nie szła – stwierdziła Laura.

– Musiała, widziałam ją.

– Ale tu nie ma żadnych śladów.

– Nie ma, bo zasypał je śnieg.

Ruszyły dalej przez patio i wokół oranżerii. Z dachu zwiisały jeden przy drugim liczne sopele, a przy końcu szklarni, tam gdzie znajdował się otwór odpływowy, sterczała przyczepiona do rynny groteskowa postać lodowej wiedźmy z haczykowatym nosem. Za każdym razem, kiedy zza drzew przeświecały promienie słońca, z nosa wiedźmy kapiała

woda i dziewczynki tańczyły wokół niej w trwożnym upojeniu, śpiewając: „Wiedźmie kapie z nosa! Wiedźmie kapie z nosa!”. Ale teraz wiedźma miała barwę ołowiu i błyszcząca, a jej nos zakrzywiony był pod niewiarygodnie ostrym kątem. Elizabeth i Laura obeszły ją zdjęte prawdziwym przerażeniem.

Co będzie, jeśli się odezwie? Co będzie, jeśli rzuci na nie urok i zamrozi na śmierć tam, gdzie stoją?

Twarz wiedźmy żłobiły ciekące lodowe krople, a na brwiach zatrzymały się krzaczaste płatki śniegu. Na jej ustach widniał tajemniczy uśmiech, lecz nie ruszała się z miejsca; nie próbowała odzepić się od rynny. Nie próbowała nawet szeptać, ale wyraźnie trzeszczała. Stawiając szybkie, sztywne kroki, ciężko przerażone dziewczynki zdołały dotrzeć całe i zdrowe do schodków prowadzących do ogródka różanego.

– Peggy – szepnęła Elizabeth tak cicho, że Laura ledwo ją usłyszała.

– To na nic – stwierdziła. – Musisz krzyczeć, ile masz sił w gardle. Peggy! Peggy! Peggy-Peggy-Peggy-Peggy!

Głos Laury przeszedł w rozdzierający krzyk, który rozbrzmiał w całym Sherman, odbił się echem od niewidocznych w śnieżycy Green Pond Mountain i Wanzer Hill, a potem potoczył po Lake Candlewood, aż stłumił go wreszcie padający śnieg.

Dziewczynki czekały, nasłuchując. Żadnej odpowiedzi. Wyłącznie cichy szelest śniegu. Elizabeth obróciła się i przyjrzała Wiedźmie z Ciekącym Nosem, ale ta tkwiła na swoim miejscu przy rynnie. Wydawała się jakaś smutna. Może zdawała sobie sprawę, że wkrótce nadejdzie wiosna i cała się roztopi.

Podeszły do stojącej pod wysoką jodłą szopy. Była mała i ciemna, ale jej dach pokrywała teraz ekstrawagancka,

wysoka czapa śniegu i wyglądała jak mrożone owocowe ciastko. Nie otaczały jej żadne ślady stóp i Elizabeth z trudem zdołała otworzyć zasypane śniegiem drzwi. Wewnątrz było ciemno i wokół unosił się zapach kreozotu i suchej trawy. Elizabeth zdołała dostrzec rączki kosiarki i łopaty, szufle i rzędy glinianych doniczek. Okna zasnutę były gęstą siatką pajęczyn, w których kołysały się i tańczyły najróżniejsze bezbarwne szkielety.

– Peggy? – szepnęła.

– Gdzie jesteś, Peggy?! – krzyknęła cienko Laura i Elizabeth aż podskoczyła na dźwięk jej głosu.

Nasłuchiwały. Z domu dochodziły niewyraźne dźwięki muzyki. *You Must Have Been a Beautiful Baby*. W kuchni paliło się jasne światło; za zasłonami w czerwone pasy widziały krzątającą się między stołem, piecem i zlewem, piekącą ciastka i babeczki mamę. Dalej widać było oświetlone znacznie słabiej okna biblioteki.

– Powinnyśmy chyba powiedzieć mamie – stwierdziła Elizabeth.

– Nie mogła daleko zajść – odparła Laura. Obie wiedziały, że dostanie się im po głowie za to, że nie upilnowały siostry. – Niech ją licho. Tyle z nią kłopotu.

– Tak, niech ją licho!

Zasunęły razem drzwi szopy i założyły skobel, a potem ruszyły w dalszy obchód dookoła domu – dużej, zbudowanej bez jakiegokolwiek planu rezydencji, największej po tej stronie Sherman, z jedenastoma sypialniami, czterema łazienkami i trzema wielkimi salonami. Ojciec dziewczynek narzekał zawsze, że noszenie drewna do licznych kominków zajmuje mu więcej czasu niż pisanie i przeglądanie manuskryptów. „W moim dowodzie powinien widnieć wpis »palacz«, a nie »wydawca«”, powtarzał. Ale ich matka zakochała się w tym domu od pierwszego wejrzenia, bo miał

olbrzymią, otoczoną galeryjką bawialnię, gdzie mogli postawić pięciometrową choinkę, zupełnie tak jak na filmach, w których wszyscy przyjeżdżają do domu na święta i dzieci obwieszają drzewko świecidełkami i wstążkami, a potem następuje jakieś romantyczne nieporozumienie, ale w końcu wszyscy mają wilgotne oczy, spełniają toast ponczem i śpiewają *Hark the Herald Angels Sing*.

Ich matka pochodziła z rozbitego domu, tylko tyle wiedziały. Aż do ósmego roku życia Elizabeth myślała, że „rozbity dom” jest domem, przez którego środek przebiega jakieś olbrzymie pęknięcie. Teraz zrozumiała już, że znaczy to coś innego, gorszego, i dlatego właśnie miały tylko jednego dziadka, podczas gdy większość ich przyjaciółek miała dwóch.

Elizabeth i Laura dotarły do południowego skraju domu. Nie było tu nic poza basenem i wąskim trójkątnym trawnikiem, za którym ciągnął się las. Zaczął padać jeszcze gęstszy śnieg i Elizabeth rozboleła z zimna palce stóp, mimo że miała podbite kozuszkami buty.

– Nie mam pojęcia, gdzie ona się podziała – powiedziała – Laura.

– Założę się, że wróciła do domu – odparła Elizabeth. – Na pewno zobaczyła, że mama piecze babeczki. Założę się, że wylizuje teraz makutkę i próbuje surowego ciasta.

Ruszyły z powrotem do domu. Podmuch wiatru otulił je gryzącym obłokiem drzewnego dymu.

– Założę się, że wyjadła cały lukier – oświadczyła niemal wściekłym tonem Laura. – Założę się, że był truskawkowy, i założę się, że wylizała wszystko, nawet łyżkę.

Elizabeth nie odezwała się ani słowem. Nie chciała być złośliwa, ale wiedziała, że Peggy jest ukochaną córeczką mamusi, i widząc czasami, jak doskonale obie się bawią i zaśmiewają, miała wrażenie, że jest stara, duża i mało

ciekawa – i choć nie czuła się niechciany dzieckiem, żałowała, że ma już dziewięć lat.

Dotarli do zaśnieżonych stopni, prowadzących do frontowych drzwi, i wtedy dopiero dostrzegli ślady.

– Ślady stóp – powiedziała Laura.

– To nasze – stwierdziła Elizabeth. Pamiętała, jak Puchatek i Prosiaczek chodzili w kółko po lesie, coraz bardziej zaniepokojeni odkrywanymi po raz kolejny własnymi śladami.

– Nie, to nie nasze – zaprotestowała Laura, marszcząc czoło. – Zobacz, są za małe i zostawiła je tylko jedna osoba.

Ślady zasypał już prawie padający śnieg i nie były większe od dołków w policzkach. Kiedy im się jednak uważniej przyjrzały, dostrzegli, że prowadzą od frontowych drzwi w dół schodów. Po zniknięciu za rogiem Peggy musiała schować się za krzakami, a potem ruszyć śladem szukających jej sióstr.

Ale gdzie się teraz podziewała?

Stojąc u szczytu schodów, dziewczynki usiłowały zorientować się, którędy biegnie przecinająca lśniący bielą ogród linia. Ślady były nierówne – pozostawione przez małe biegnące dziecko – a śnieg sypał tak wściekle, że ledwie było je widać. Ale nie było żadnych wątpliwości, dokąd prowadzą. Ukosem przez ogród, prosto do basenu.

Warstwa śniegu była tak gruba, że gdyby nie dwie pomalowane na biało, oddalone od siebie o dwadzieścia jardów metalowe drabinki i podstawa trampoliny, nie sposób byłoby zgadnąć, że w ogóle znajduje się tam basen. Ojciec miał zamiar wypompować wodę przed zimą, ale najpierw zepsuły się pompy, potem bez przerwy padały deszcze i w końcu po pierwszych przymrozkach było już za późno. Tak przynajmniej powiedział: że jest już za późno – ale pracował wówczas jak szalony nad nową serią książek zatytułowaną

Okolice Litchfield i niewiele czasu poświęcał domowi – donosił tylko stale drewno do kominków.

Dziewczynki puszczały kamyki po zamarzniętej powierzchni basenu, a raz wysłały nawet w arktyczną ekspedycję lalkę Elizabeth, Shirley Temple. To właśnie po tym, jak Elizabeth zesłała na lód, żeby ratować Shirley, ojciec zabronił im pod groźbą klapsa podchodzić w zimie blisko basenu.

Ale Peggy najwyraźniej naruszyła ten zakaz. Jej szybko znikające ślady prowadziły prosto w stronę basenu; a na jego powierzchni, mniej więcej dwa jardy od najbliższej drabinki, widać było niewyraźne szare zagłębienie, które szybko wypełniał padający śnieg.

Elizabeth otworzyła usta w niemym przerażeniu. Zimne płatki śniegu wirowały wokół jej warg i topiły się na języku.

– Idź po ojca – szepnęła do siostry.

– Co? – zapytała Laura, która wciąż jeszcze nic nie rozumiała.

– Idź po ojca! Idź po ojca!

Laura spojrzała na nią swymi wielkimi błękitnymi oczyma. Elizabeth zbiegła po schodkach i popędziła przez trawnik, przedzierając się przez wysoki do kolan śnieg. Nie oglądała się nawet, żeby zobaczyć, czy Laura poszła do domu. W krtani paliło ją tak, jakby wróciły wszystkie bóle gardła, które dręczyły ją w dzieciństwie, wszystkie jednocześnie.

– Peggy! – wołała. – Peggy!

Dotarła do skrajów basenu i o mało nie straciła równowagi. Tylko leciutkie załamane śniegu wskazywało, gdzie znajduje się krawędź. Zatrzymała się, łapiąc kurczowo powietrze. Nie było żadnych wątpliwości: ślady Peggy prowadziły nieomylnie po zaśnieżonej powierzchni, a potem nagle się urywały.

Elizabeth obróciła się, próbując przełknąć ślinę, żeby

złagodzić ból w gardle. Laura zniknęła, niedługo więc powinien nadejść ojciec. W powietrzu wisiała martwa cisza. Miała wrażenie, że jest jedyną żywą istotą na całym świecie.

– Proszę Cię, Boże, proszę, Boże, pomóż mi – powiedziała najcichszym i najcieńszym z szeptów, spoglądając z powrotem na niewyraźne zagłębienie w śniegu. Złapała się poręczy metalowej drabinki i ostrożnie opuściła stopę w dół. Podeszwa jej buta zetknęła się z lodem o wiele niżej, niż się spodziewała. Wzięła głęboki oddech i nie puszczając poręczy, przeniosła ciężar na tę nogę. Lód był chyba dość gruby; nie załamał się ani nie zatrzeszczał. Postawiła na nim drugą stopę i podskoczyła ostrożnie w miejscu. Lód wciąż wydawał się pewny.

Spojrzała w stronę domu. Ojciec nadal się nie pojawiał. Musiała odnaleźć Peggy sama, choć wcale tego nie chciała. Była pewna, że Peggy utonęła, i bała się, że lód załamał się pod nią i ona także utonie na długo przedtem, zanim zdoła tu dotrzeć ojciec. Ale wiedziała, że musi spróbować. Peggy mogła trzymać się skraju lodu, schowana pod śniegiem. Jak ona, Elizabeth, będzie się czuła do końca życia, jeśli nie spróbuje jej teraz ratować?

Trzymając się kurczowo drabinki, zaczęła, nie podnosząc stóp, sunąć po powierzchni basenu. Wysoka prawie na trzydzieści centymetrów zaspą sięgała jej do kolan i śnieg sypał się do butów.

W końcu puściła poręcz i ślizgając się, ruszyła w stronę zagłębienia, przy którym urywały się ślady Peggy. Zorientowała się, że nuci pod nosem piosenkę Kubusia Puchatka: „Im bardziej PADA ŚNIEG, bim-bom, im bardziej PRÓSZY ŚNIEG, bim-bom, tym bardziej SYPIE ŚNIEG, bim-bom”^{*}.

^{*}A.A. Milne, *Chatka Puchatka*, przełożyła Irena Tuwim.

Usłyszała trzask pękającego lodu – dziwny zgrzytliwy odgłos, jakby ktoś pocierał o siebie dwa kawałki stłuczonego szkła. Dotarła prawie do zagłębienia, ale skoro lód już raz pękł w tym miejscu, mógł łatwo załamać się ponownie.

Odsunęła śnieg stopą, a potem przyklekła i zaczęła odgarniać go rękawiczkami. Tuż pod białymi płatkami zobaczyła lodowatą toń, bardziej podobną do szarego puddingu z tapioki niż do wody. Ostrożnie uprzętnęła śnieg wokół całej dziury, która nie miała więcej niż pół metra średnicy.

– Lizzie! Elizabeth! Zejdź z basenu! Zejdź z basenu! – usłyszała za sobą krzyk ojca.

Nawet się nie obejrzała. Zobaczyła, jak coś porusza się tuż pod powierzchnią lodu. Coś bladego i szarawego. Coś, co drgnęło, zanurzyło się głębiej i powoli odwróciło.

– Lizzie! – Wołanie ojca dochodziło teraz z bliższej odległości. W jego głosie brzmiały nutki hysterii. – Lizzie, nie ruszaj się!

Ale ona nadal zgarniała śnieg z powierzchni basenu, szorując lód odzianymi w rękawiczki dłońmi, niczym usiłujący zobaczyć coś przez zaparowaną szybę kierowca rozpędzonego samochodu.

Potem pochyliła się i spojrzała w dół. Miała przed sobą okno – okno, przez które mogła zobaczyć inny świat, ciemny i przeraźliwie zimny. Okno, przez które widziała swoją utopioną siostrę Peggy, jej skórę białą jak mleko, szeroko otwarte oczy i bladocięne wargi. Loki Peggy unosiły się w wodzie i tak samo unosiło się jej futerko z kapturem, powoli i ospale, jak wodorosty albo arktyczne morskie anemony.

Najwyraźniej widoczne były jej małe rączki w różowych wełnianych rękawiczkach, splecione razem przy piersi, jakby odmawiała modlitwę.

Im bardziej pada śnieg, bim-bom...

Ojciec dobiegł do skraju basenu. Elizabeth słyszała go,

ale nie odwróciła się. Gdyby się odwróciła, musiałaby go posłuchać.

– Lizzie! – zawołał. – Czy tam jest Peggy? Gdzie jest Peggy?

Elizabeth nie wiedziała, co ma odpowiedzieć.

– Lizzie, kochanie, czy tam jest Peggy?

– Tak – odpowiedziała. Jej głos tłumili płatki śniegu.

– Jezu – jęknął ojciec. Zszedł do basenu i balansując rękoma, ruszył w jej stronę. Jego okrągłe okulary były zaparowane, a szary rybacki sweter błyszczał od śniegu. Szczupły, dobiegający czterdziestki mężczyzna z brodą, usiłujący ratować tonącą córkę.

– Gdzie ona jest, Lizzie? – krzyknął. – Na litość boską, Lizzie!

Pod lodem Peggy uśmiechnęła się i wolno odwróciła. Elizabeth wiedziała ponad wszelką wątpliwość, że jej siostra nie żyje. Poczowała intensywne ukłucie żalu – tak bolesne, że zgięła się prawie w pół. Peggy znajdowała się bardzo blisko, zaledwie kilka cali pod taflą lodu, lecz jednocześnie tak daleko. Dla Peggy czas na zawsze zatrzymał się w miejscu pięć minut po trzeciej w piątek, dwudziestego trzeciego lutego 1940 roku, i nie miał posunąć się dalej.

Twarcz Peggy znajdowała się dokładnie pod nią. Elizabeth zawahała się i przesunęła palcami po lodzie, a potem pochyliła się i dotknęła go wargami, dokładnie tam, gdzie znajdowały się usta jej siostry.

Peggy wpatrywała się w nią bez jednego mrugnięcia. Śnieg padał wokół niej, jakby chciał otulić ją kocem, jakby chciał ją całą zakryć.

– Lizzie!

Ojciec złapał ją za rękę i obrócił. Poczowała, że wywichnął jej ramię.

– Uciekaj z tego cholernego basenu, Lizzie. Wracaj do

domu!

Cofnęła się, kiedy ojciec zaczął walić w lód obcasem, ale nie zeszła z powierzchni basenu. Stała tuż za nim, patrząc w bezsilnej udręce, jak kopie dalej lód i nie przestaje krzyczeć:

– Peggy! Peggy! Wstrzymaj oddech, kochanie! Wstrzymaj oddech! Tatusz jest tutaj!

Rozbicie lodu zajęło mu tylko kilka sekund. Złapał córeczkę za mokre futerko i powłókł ją w stronę gęstniejącej wody, tam gdzie lód załamał się wcześniej. Ciało Peggy zakręciło się i zanurzyło i jednocześnie rozwarły się złożone jak do modlitwy ręce.

– Chodź, Peggy, chodź, mój kwiatuszku – szeptał. Zdołał wyciągnąć ją do połowy z wody i położyć na lód.

– Koce! – ryknął. – Niech ktoś da koce!

Wziął Peggy w ramiona i ślizgając się, dobrnął jakoś do skraju basenu.

– O Boże! – jęknął, łapiąc za poręcz drabinki. Ręce Peggy latały bezwładnie w powietrzu, z palców kapąły błyszczące krople wody. Twarz miała schowaną w ojcowskim swetrze, jakby nie chciała, żeby ktoś ją oglądał, nie chciała, bo była martwa.

W ich stronę biegła od strony domu w trzepoczącym białym fartuchu mama.

– Peggy! – krzyczała. – Peggy!

Elizabeth wdrapała się na górę. Bolało ją nadszarpięte przez ojca ramię. Ojciec brnął już po śniegu do domu, trzymając Peggy w ramionach. Mama biegła tuż za nim, płacząc i powtarzając bez końca jej imię.

Elizabeth płakała również. Przemarznięta, drżąca i zszokowana, powłokła się, rozmazując łzy po twarzy, z powrotem do domu. Kiedy tam dotarła, ojciec owinął już Peggy w koce i kładł ją na tylnym siedzeniu samochodu. Podjazd wypełniły kłęby spalin, zabarwione piekielnym czerwonym

kolorem przez zapalone tylne światła. Z domu wybiegła w zarzuconym na ramiona czarnym zimowym palcie mama Elizabeth. Jej twarz przypominała twarz kogoś obcego, kogoś, kto tylko udaje, że jest ich mamą.

– Kochanie... musimy zawieźć Peggy do szpitala... a wami zaopiekuje się pani Patrick. Zadzwonimy później – powiedziała.

Potem rodzice odjechali, uwożąc ze sobą ich najmłodszą siostrę. Elizabeth stała przez chwilę na podjeździe, patrząc, jak śnieg osiada na śladach opon, po czym weszła do domu – ciepłego domu, w którym zapadła nagle cisza i w którym unosił się zapach świątecznych wypieków. Zamknęła za sobą frontowe drzwi i poszła do garderoby zdjąć buty, skarpetki i przemoczony od śniegu płaszcz.

Po chwili pojawiła się Laura z rozmazanymi po policzkach łzami.

– Peggy umarła! – jęknęła. – Powiedziałam „niech ją li-cho”, i umarła!

Dwie siostry usiadły obok siebie na schodach i płakały tak długo, aż rozboleło je w piersiach. Wciąż nie mogły się uspokoić, nawet kiedy otworzyły się drzwi i weszła pani Patrick z Green Pond Farm, ich najbliższa sąsiadka. Znała dziewczynki od urodzenia. Była to postawna Irlandka o płomiennej cerze, płomiennych włosach i przypominającym staroświecki gwizdek nosie. Zdjęła płaszcz, wzięła dziewczynki w ramiona i uciszała je tak długo, aż w końcu poczuły, że jej zrobiony na drutach sweter zalatuje naftaliną i że jej broszka drapie je po twarzy. Po wielu latach Elizabeth zapisała w swoim dzienniku, że uświadomienie sobie drobnej niewygody jest pierwszym krokiem na drodze do pogodzenia się ze smutkiem, i notując to, miała na myśli właśnie sweter pani Patrick i jej broszkę.

W nocy, kiedy dziewczynki leżały w łóżku, zadzwonił

telefon. Zakradły się w nocnych koszulach na galeryjkę na piętrze i słuchały stojącej w hallu pani Patrick. W domu było teraz o wiele chłodniej; ogień w kominkach wygasł i nie było ojca, który dorzuciłby do nich drzewa. Gdzieś stukały uparcie drzwi.

– Tak mi przykro, Margaret, naprawdę mi przykro – usłyszały głos pani Patrick.

Spojrzały na siebie wilgotnymi oczyma, ale nie zapłakały. W tym momencie uprzytomniły sobie, że Peggy opuściła je na zawsze, że Peggy jest teraz aniołem, i poczuły się w dziwny sposób osamotnione, ponieważ teraz musiały radzić sobie same.

Rozdział 2

W następny wtorek mama zabrała je do Macy'ego w White Plains. Niebo pokrywały zapowiadające dalsze opady brunatne chmury, a Mamaroneck Avenue tonęła w brązowej śniegowej brei. Jezdnię sunęły pokryte śniegiem samochody, ciche i niesamowicie niczym ruchome domki igloo. Mama kupiła im czarne płaszcze, czarne kapelusiki i obszyte czarnymi lamówkami szare sukienki. W sklepie było zdecydowanie za gorąco i przymierzając swój płaszczyk, Elizabeth myślała, że się udusi. Ale ponury rytuał zakupu żałobnych strojów był w pewnym sensie pierwszą normalną i zrozumiałą rzeczą, która wydarzyła się w tym koszmarnym tygodniu, i kiedy wyszły ze sklepu, niosąc pakunki, Elizabeth poczuła się o wiele lepiej, jakby przeszła jej gorączka.

Każdy z dni, które minęły od śmierci Peggy, był inny, przerażający i nienormalny. W sobotę i niedzielę nikt się nie odzywał. W poniedziałek wieczór mama przytuliła je do siebie i kołysała w milczeniu w przód i w tył, gładząc po włosach – zachowując się i wyglądając po prostu jak mama. Ale potem postawiła je nagle na podłodze, wyszła, nie odwracając się, z pokoju dziecinnego i przekreśliła głośno klucz w swojej sypialni. Po kilku chwilach, podczas których patrzyły zaskoczone na siebie, usłyszały, że zawodzi

niczym złapana w potrzask dzika norka.

Rozpacz ich matki była czymś, czego nie mogły po prostu znieść, więc także zaczęły płakać, a ojciec stał pod drzwiami sypialni, powtarzając na próżno:

– Margaret... Margaret... na litość boską, wpuść mnie do środka!

We wtorek wieczorem ojciec wrócił do domu kompletnie pijany i zaczął tłuc się po domu, trzaskając drzwiami i krzycząc na mamę, że o wszystko go wini: że rzucił pracę u Scribnera, że przeprowadził się do Sherman, że kupił ten dom i zapomniał wypompować wodę z tego przeklętego basenu. Dlaczego nie powie mu wyraźnie, o co jej chodzi? Dlaczego nie oskarży go wprost o morderstwo własnej córki? Jezu Chryste, przecież równie dobrze mógłby wepchnąć ją własnymi rękoma pod wodę i trzymać tak długo, aż utonie.

Potem nagle wszystko ucichło. Elizabeth i Laura leżały obok siebie w swoich łóżkach, nadstawiając uszu i nie mając odwagi nawet szepnąć.

W końcu usłyszały stłumiony szloch, który trwał prawie przez pół godziny. To mogła być mama, to mógł być tato. Albo oboje.

Dziewczynki zmówiły modlitwę za Peggy, ale ich modlitwa bardziej przypominała rozmowę. Trudno im było uwierzyć, że siostrzyczka rzeczywiście odeszła na zawsze.

„Najdroższa Peggy, jak to jest, kiedy się nie żyje? Daj jakiś znak, nawet jeśli to ma być tylko szept albo napisanie palcem imienia na oszronionej szybie. Myślimy o tobie przez całe dni i wciąż tak bardzo cię kochamy. Nie pozwolimy wyrzucić nikomu Pana Bunzuma, obiecujemy. Bez przerwy cię oplakujemy, ale wiemy, że musisz być szczęśliwa”.

Do domu przychodziło wielu obcych ludzi. Dorośli,

którzy mamrotali coś niezrozumiale, wydmuchiwali nosy i uciekali w bok spojrzeniem. Prawie jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki cały dom wypełnił się kwiatami: żonkilami, irysami i różami. Było ich tak dużo, że mama musiała pożyczać wazony od sąsiadów, a mimo to wciąż zakwitało ich coraz więcej. Pod koniec lutego, kiedy śnieg nadal sypał w okna, wszystkie te jasne pachnące kwiaty sprawiały, że świat wydawał się jeszcze dziwniejszy, niczym w baśniach braci Grimm.

Przez cały tydzień przychodziła codziennie pani Patrick, przynosząc im obiad, który zjadały w kuchni. Dziewczynki lubiły obiady pani Patrick, bo przygotowywała duszone kurczaki, gęste jarzynowe zupy, szwedzkie mielone kotleciki i boczek z fasolą; dobre wiejskie jedzenie, pachnące i proste. Ich mama piekła często śliczne małe ciasteczka i ciasta, bo nauczyła ją tego babcia, gdy była młodą dziewczyną, ale kiedy trzeba było zrobić gulasz albo zapiekankę, traciła zapał w połowie drogi i wszystkie jej potrawy miały dziwny smak i były jakby niedokończone: za słone, za bardzo przyprawione ziołami albo zbyt mączne, tak jakby wypróbowała jakiś nowy przepis i nagle zaczęło ją to nudzić. Jej pieczenie były zawsze szare, wygotowane i żalosne, a przyrządzane przez nią sałatki jarzynowe dziewczynki przez długi czas uważały za coś w rodzaju wymierzanej im kary, podobnie jak klapsy albo odebranie kieszonkowego.

Czasami, kiedy jadły, mama zaglądała do kuchni i zamieniała kilka słów z panią Patrick.

– Pani też straciła małą Deborah, prawda? O Boże, nigdy aż do dzisiaj nie rozumiałam, co to jest, kiedy traci się dziecko. To tak, jakby wydarto ci serce.

Dymek z jej papierosa snuł się długą smużką aż do pieca, gdzie drzał przez chwilę pod wpływem gorąca i nagle umykał w bok.

W obecności mamy dziewczynki czuły się zawsze nie-swojo, wiedziały bowiem, że teraz, kiedy utonęła Peggy, nie powinny przejawiać zbyt wiele zdrowego apetytu.

– Nie hałasujcie tak sztućcami – mówiła czasem.

Dziobały wtedy powoli jedzenie, czując głód, bojąc się jednak jeść. Pani Patrick posyłała im smutne spojrzenie, ale wcale nie krzyczała.

– Przepraszam... jak pani właściwie się nazywa, pani Patrick? – zapytała w środę rano Elizabeth, trochę z potrzeby zaznania serca, ale i z czystej wdzięczności.

– A jak mam się nazywać, gąsko? Jasne, że pani Patrick.

Później Elizabeth napisała w swoim dzienniku, że w życiu tak jak w filmie niektórzy ludzie otrzymują główne role, a inni są tylko drugoplanowymi postaciami. Życie też ma swoich statystów: pani Patrick należała do nich i dobrze o tym wiedziała. „Być może Bóg odwdzięczy jej się kiedyś za to, że się nami opiekowała”.

Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- swiatksiazki.pl
- empik.com
- bonito.pl
- taniaksiazka.pl

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również w formie **e-booków**.
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarni i na stronę wydawnictwoalbatros.com, gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).